

Kultura

Robert Rozmus jako Pan Kleks.

Kim jest główny bohater? Nieprzystosowanym dziwakiem? Czy raczej ekstrawaganckim wolnomyślicielem, kwestionującym reguły w świecie dorosłych?

© MAKSYMILIAN RIGAMONTI/
NEWSWEEK POLSKA/REPORTER (2)



Triumf Akademii

Pan Kleks powraca! W stołecznym Teatrze Roma odbyła się premiera musicalu opartego na przygodach wymyślonej przez Brzechwę postaci. To druga, po cyklu filmów Gradowskiego z lat 80., próba ożywienia tajemniczej Akademii i jej ekscentrycznego założyciela.

PIOTR SARZYŃSKI

Czym jest historia o panu Ambrozym Kleksie i jego uczniach? Wspomniała bajkę, którą czyta się z zapartym tchem? Z pewnością. I kogo ominęła w dzieciństwie, niech żałuje. Ale to równocześnie opowieść nietypowa, odstająca od standardów klasycznych historyjek dla dzieci. Lekceważąca logikę (to się jeszcze zdarza), czerpiąca z najbardziej wybujałej wyobraźni. A równocześnie niejednoznaczna. Kim jest bowiem jej główny bohater? Spadkobiercą doktora Korczaka i prekursorem nowoczesnej pedagogiki humanistycznej? A może – przykładając doń społeczne miary – nieprzystosowanym dziwakiem? Czy raczej ekstrawaganckim wolnomyślicielem, kwestionującym reguły obowiązujące za bramami Akademii, w świecie

dorosłych. A więc anarchistą. A może jeszcze kimś innym?

Nic więc dziwnego, że choć dzieci się zachwycają, to dorośli – analizują. I czegoś to nie wymyślili. W „Akademii Pana Kleksa” doszukiwano się i dyskretnej politycznej kontestacji, i hołdu złożonego wolności, którą podstępnie chce zdławić Filip Golarz (przypomnijmy, że kolejne części powieści powstały w 1946, 1961 i 1965 r.). Opowieść porównywano do narkotycznych wizji lub onirycznego snu, zestawiano z kulturą „campu”. A nawet sugerowano, ledwie ukryte, wątki gejowskie. Karolina Kosińska w periodyku „op. cit.” pisała: „Pokutujący społecznie stereotyp homoseksualnego chłopca jest tu wyzyskany w pełni: wychowankowie Kleksa są androgyniczni, delikatni, subtelni (...),

odrzućeni przez okrutne społeczeństwo. Zamykają się w Akademii – świecie słodkiej utopii, gdzie spotkań mogą podobnych sobie wyrzutków”.

Jak do wszystkich tych (nad)interpretacji ma się spektakl w Romie?

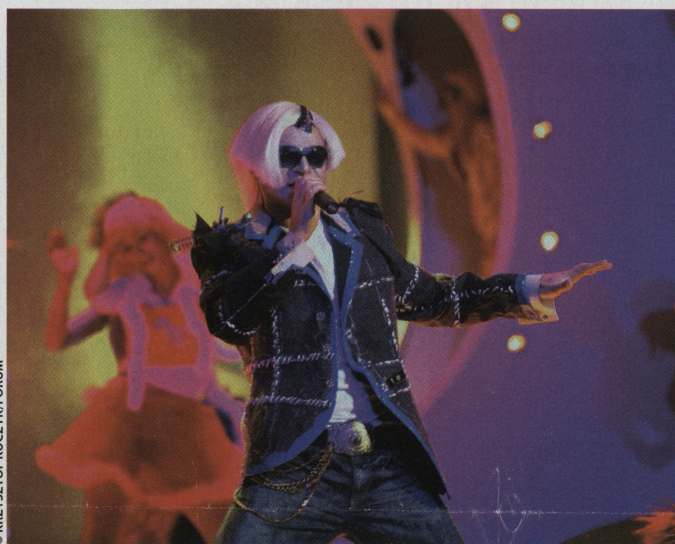
Nijak. Wydaje się, że jego twórcy postanowili po prostu skorzystać z kapitalnego materiału i na jego podstawie przygotować rodzinny musical, który bez wikłania się w podteksty i dwuznaczności dostarczy 2,5 godziny wyśmienitej zabawy. Nie ma tu żadnych aluzji, sugerowania ukrytych tekstów, puszczania oka – jak w „Shreku” – do dorosłych. Jest za to bardzo sprawnie opowiedziana historia wykorzystująca powieściowe wątki.

Na pierwszy rzut oka widać, że opłaciło się organizować ogromny casting.

Uczniowie Akademii świetnie tańczą, dobrze śpiewają i pewnie czują się na scenie.



© KRZYSZTOF KUCZYK/FORUM



Tak właśnie: wykorzystująca. Ortodoksyjnych fanów oryginału uprzedzam bowiem, że sceniczny bieg zdarzeń momentami dość daleki jest od tego, co wymyślił Brzechwa. Centralną postacią staje się tu chłopiec-maszyna Alojzy Bąbel, którego stworzył, pragnący zniszczyć Akademię, demoniczny Filip Golarz. Lalka wymyka się jednak spod kontroli swego twórcy i z sekretami Ambrożego Kleksa ucieka w siną dal. Zaś w pogoni za nią ruszają, niezależnie od siebie, dwa zespoły. Pierwszy złożony z Kleksa, woznego Akademii Weronika Czyściocha oraz dwójki dzieci – Adasia Niezgódki i Rezedy, córki akademickiego ogrodnika. I drugi, konkurencyjny – Filipa Golarza, który wygląda jak połączenie prowincjonalnego alfonsa z miłośnikiem heavy-metalu, i jego dwóch przybocznych drabów, przypominających chicagowskich gangsterów z czasów prohibicji. Obie ekipy, depcząc sobie po piętach, odwiedzają miejsca i krainy, które w oryginale znalazły się w trzech kolejnych tomach powieści: m.in. fabrykę dziurek, Abecję, Wyspę Wynałazców, Nibycję, Almakotę. Całość, jak na reguły rządzące musicalami, zmontowano niezwykle sprawnie, precyzyjnie i z dramatycznym pazurem, choć oczywiście, z sentymentu łaknęlibyśmy choćby pokręconej historii z guzikami, szpakami Mateuszem oraz doktorem Paj Chi Wo.

Wielkimi atutami powieści Brzechwy były magia i rozmach. Nie brakuje ich także w wersji musicalowej. Twórcy zrobili wszystko, by ze ściśniętych z przejęcia gardeł dziecięcej

widowni co jakiś czas mogło wydobywać się zduszone „och” i „ach”. Są więc sztuczki iluzjonistyczne, latający pod sufitem ogromny sterowiec, zapadnie, fruwające postaci, gigantyczne zwierzęta (wyglądające jak wykonane w sztuce origami), lasery, dymy i mnóstwo innych atrakcji.

Kapitałnym pomysłem okazało się zaproszenie do współpracy Tomasza Bagińskiego, który wyczarował silnie działające na wyobraźnię animacje komputerowe, przydające całości filmowych walorów. W bajkowej konwencji doskonale mieszczą się sza-

lone kostiumy Doroty Kołodyńskiej i scenografia Borisa Kudlicki. Reżyser spektaklu i dyrektor Romy Wojciech Kępczyński jest znany z tego, że wszystko robi z największą wystawnością, wychodząc z założenia, iż musical musi nie tylko wzruszać czy bawić, ale też zachwycać i czarować. Tak było w przypadku „Kotów”, „Miss Sajgon”, „Tańca Wampirów”. Tak jest i tym razem. I do prawdy trudno znaleźć scenę, którą można by przygotować z jeszcze większym rozmachem.

Prawdziwą esencję spektaklu stanowią piosenki. W „Akademii Pana Kleksa” wykorzystano część spośród tych, które niegdyś do filmu Krzysztofa Gradowskiego napisał Andrzej Korzyński. I słusznie, bo trudno sobie wyobrazić muzyczne przedsięwzięcie z Kleksem w tytule i bez, niemal legendarnych już takich kawałków jak „Witajcie w naszej bajce”, „ZOO”, „Na Wyspach Bergamutach” czy „Leń”. (W Romie zabrakło, niestety, miejsca dla utworu z tamtego filmu, który najbardziej utkwił mi w pamięci: „Marszu wilków”, granego i śpiewanego – i to jak! – przez zespół TSA).

Zdecydowana większość piosenek to jednak utwory nowe, napisane specjalnie na tę okazję... ponownie przez Korzyńskiego. Jego umiejętność komponowania melodyjnych szlagierów sprawiła, że po wyjściu z teatru ma się ochotę nucić ten lub ów walek. To walor, który musicalu bardzo brakowało mi w poprzedniej musicalowej produkcji dla dzieci teatru Roma – „Piotrusiu Panu”.

Tamten spektakl też oszałamiał rozmachem, ale – niestety – żadna melodia nie zostawała w pamięci. To, że teraz jest inaczej, to zasługa Korzyńskiego, ale też i autora tekstów nowych piosenek – Daniela Wyszogrodzkiego. Są inteligentne, nieprzegadane, w duchu Brzechwy, niekiedy delikatnie podszyte ironią lub groteską, umiejętnie posuwające akcję do przodu.

Na ostatecznym muzycznym efekcie spektaklu najbardziej chyba zaważyły aranżacje rodzinnego tandemu Macieja i Bogdana Pawłowskich. Starym przebojom przydali nowych, niekiedy zaskakujących (rockowa „Kaczka Dziwaczka”) brzmień. I dobrze, bo te dawne nieco się zestarzały. Niekiedy Pawłowscy bawią się stylami, wprowadzając motywy z hip hopu, brzmień latynoskich czy etnicznych. Często jednak pozostają w konwencji dobrego, klasycznego musicalu, a to z rozlewnym i sentymentalnym, a to z patetycznym brzmieniem orkiestry. Kiedy te partie śpiewają zawodowi musicalowi aktorzy, wszystko jest w porządku. Kiedy jednak tę musicalową manierę próbują naśladować kilkunastoletnie dzieci, o niewyszkolonych jeszcze i nie nazbyt nośnych głosach, efekty bywają różne. Starzy-malutcy zawsze mają bowiem w sobie coś groteskowego, choć niewątpliwie i rozczulającego. Zaś z musicalu dla dzieci robi się wówczas musical dziecięcy, gatunek – trzeba przyznać – prawdziwie nowatorski. Ale też należy pamiętać, że i całe przedsięwzięcie ma charakter nowatorski – wszak to pierwszy musical napisany specjalnie dla tej sceny.

Skoro o dzieciach mowa... Na pierwszy rzut oka widać, że opłaciło się organizować ogromny casting (wykonawców wybrano spośród 800 kandydatów). Procentuje wielomiesięczna, wręcz katorżnicza praca. Uczniowie Akademii świetnie tańczą, dobrze śpiewają i pewnie czują się na scenie.

Mają zresztą wsparcie doświadczonych dorosłych artystów, z których zdecydowana większość jeszcze niedawno z powodzeniem występowała w „Tańcu Wampirów”.

Kto chce się zabawić, niech wśród bajkowych postaci Brzechwy spróbuje odszukać tych, którzy wówczas tak przekonująco straszili ze sceny.

„Akademię Pana Kleksa” w teatrze Roma porównywać można z wieloma wcześniejszymi produkcjami. W konfrontacji ze wspomnianym już „Piotrusiem Panem”, głównie za sprawą muzyki i fantazyjnych pomysłów, wypada lepiej. Ma w sobie coś z nierealności „Alicji w krainie czarów” oraz szaleństwa „Charlie’ego i fabryki czekolady”. Głosząc potęgę wyobraźni, przypomina „Małego Księcia”. Niestety, teatrowi nie udało się pozyskać do tej realizacji żadnego strategicznego sponsora, okazało się, że ci, którzy mają pieniądze, niechętnym okiem patrzą na to, co polskie i dla dzieci. Spektakl więc gościć będzie na afiszu przez co najmniej 3 lata, by zwrócić się gigantyczne pieniądze wyłożone na jego przygotowanie. Jestem jednak dziwnie spokojny, że sala nie będzie świeciła pustkami. ■